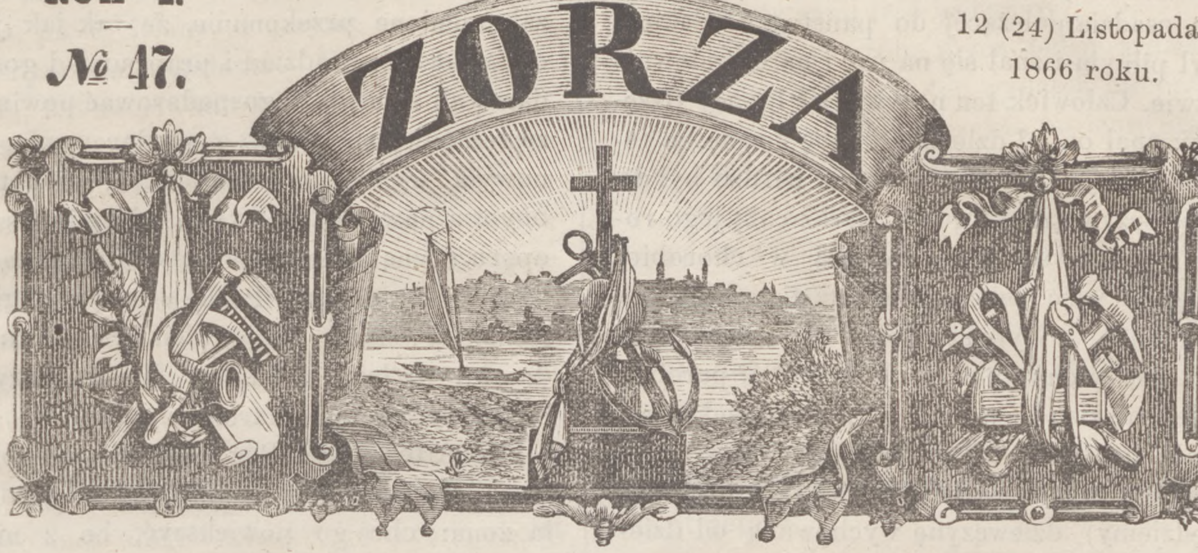
ROK 1.
—
№ 47.

WARSZAWA.
12 (24) Listopada
1866 roku.



PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 Złp. 12.
Półrocznie „ „ 90 Złp. 6.
Kwartalnie „ „ 45 Złp. 3.

NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE
Rocznie . . rs. 2 k. 44 Złp. 16 g. 8.
Półrocznie „ 1 „ 22 Złp. 8 „ 4.
Kwartalnie „ „ 61 Złp. 4 „ 2.

W CESARSTWIE:
Rocznie z kopertą rs. 4 k. 44 Złp. 29 g. 18.
Rocznie bez koperty rs. 2 k. 22 Złp. 14 g. 24.
Półrocznie, połowa tegoż.

Prenumerować można **Zorzę**: w Warszawie w Redakcyi Nr 1582 lit. D. ulica Aleje Jerozolimskie, w Drukarni Ig. Krokoszyńskiego p. ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 338, i we wszystkich kantorach Gazet; a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.

Treść: Przemiana; powiastka *F. S. Dmochowskiego*.—Fałszywa Perła; (Przypow.) wiersz *J. Gr.*—Wyjątki z podróży po obcych krajach.—Rady Gospodarskie.—Różne Różności (Zuch. Mucha i Przypadek z łok.—Zagadka.

PRZEMIANA.

HISTORYA RODZINY NIEDBALSKICH,

powzięta z rzeczywistych przygód społecznych.

przez

F. S. Dmochowskiego.

Dalszy ciąg.

CZĘŚĆ II.

I.

Zaczęła się dla Józefy Niedbalskiéj nowa era życia, któréj prac, przeszkód i mozołów nie wyobrażała sobie idąc za mąż. I dobrze się stało: gdyż zapewne byłaby się ulękła ciężaru, a pan Marcin byłby został tem, czem był, dopóki nie ożenił się i czém był jego ojciec i dziadek. Nazajutrz po przybyciu do mężowskiego domu, obszedłszy całe gospodarstwo domowe i rolne, zajrzawszy w każdy zakątek, dopiero poznała wszystkie jego wady i braki. Zaczęła od ochędóstwa. Nie podobna wyliczyć, ile zmudnych i na nic nie przydatnych łachmanów, ile śmieci i barłogu wyrzucić kazała z alkierza, z komory, z pod strychu i sama dopomagała w téj pracy. Wszystko to zwalono w dół, który z jej polecenia wykopał parobek za szopą w końcu podwórza i do którego ściekła woda zbierająca się przed domem, i gnojówka z przed stajni i szopy. Ojciec odstąpił dla niéj parobka w sędziwym już wieku, ale krzepkiego je-

szcze, który od lat piętnastu gospodarował na osadzie należącéj do państwa Skalskich, był pilnym i znał się na roli i na ogrodownictwie. Człowiek ten nazywał się Ignacy Grzęcki; znał on od dziecka pannę Józefę, a teraźniejszą panią Marcinowę, i bardzo był do niéj przywiązany, gdyż nieraz całą jego rodzinę ratowała i dozorowała w chorobie; chętnie więc przeniósł się z nią razem do Osmolina. Wyporządzono dla niego mieszkanie w chałupie, gdzie mieszkał parobek Niedbalskiego, a któréj połowa oddawna stała pustkami. Do służby domowéj sprowadziła także pani Józefa (tak ją odtąd zwać będziemy) dziewczynę wychowaną od dzieciństwa w domu rodziców, a nazwyczajoną do porządku i pracy. Marcin, spoglądał na te wszystkie zmiany, z podziwieniem i niedowierzaniem, aż nareszcie ośmielił się powiedzieć:

— Moja Józiu! a czy to nie za ciężko będzie na nas? Przybyło nam dwoje ludzi do żywienia i zapłaty, A zkądże my na to weźmiemy?

— Bądź spokojny, kochany mężu: było tu za mało rąk do pracy. Mam trochę pieniędzy z łaski rodziców i z własnéj oszczędności, a pewna jestem, że te małe wydatki dziesięciokrotnie nam się wynagrodzą.

Pan Marcin odpowiedział: „Rób moja Józiu, jak ci się zdaje, ja wiem, żeś ty mądrzejsza odemnie.“

Pani Józefa umyśliła sobie, żeby o każdéj zmianie i ulepszeniu, jakie w domu i roli zaprowadzić zechce, wprost powiedzieć mężowi: „Musimy zrobić, kupić, rozporządzić tak, a tak, będzie to dobrze i pożytecznie.“ Pan Marcin nie sprzeciwiał się wcale, kiedy szło o rzeczy zgodne z dawnym trybem gospodarstwa. Lecz żona natrafiała na ciężką przeszkodę i niespodziewany opór we wszystkiem, gdzie chciała jakąś nowość zaprowadzić. Niedbalski miał to zakorzenione przekonanie, że tak jak jego ojciec, dziad, pradziad i prapradziad gospodarowali i on także gospodarować powinien, że teraźniéjszy sposób gospodarowania, jest nowym wymysłem niemieckim, niepotrzebnym a nawet szkodliwym. Najpierwszego oporu doznała, chcąc powiększyć i urządzić ogród przy domu. Posłała do przyległego leśnictwa, i za swoje pieniądze zakupiła drzewa na łaty i słupki. Kiedy pierwszą furę przywieziono, Marcin zapytał się:

— A to na co? Cóż to będziecie robić?

— Ogrodzimy nasz ogród, odpowiedziała żona: chcę go powiększyć, bo z niego mieć będziemy większe korzyści jak z pola.

— Potrzebne to rzeczy! odrzekł Marcin, przez lat dwieście wystarczał nam ten ogród, a ty mi chcesz zabierać pole, na którém rodzi się pszenica. I cóż lepszego na niém zasádzisz?

— Zasadzę kartofle, buraki, rzepę, a dawny ogród obsiejemy rzepakiem: bo tak co rok sadząc kartofle, mamy biedne i niesmaczne: wszakże to sam widzisz? Kwatery poobsadzamy drzewami owocowemi, ale tak odlegle, żeby nie zacieniały warzywa, a że dawniéjszy płot już jest po większéj części spruchniały, to lepiéj będzie dać od razu należyte i mocne ogrodzenie. Ja tak lubię ogród, i sama w nim pracowałam u rodziców! Wszakże mi nie odmówisz téj przyjemności? To rzekłszy, pocałowała trochę zachmurzonego męża. Ten ostatni argument, był najpotężniejszym; pan Marcin nigdy nie mógł oprzéć się przymileniu żonki, i zezwalał na wszystko.

II.

Była to już późna pora jesienna, i ledwie zdążyła młoda mężatka jakikolwiek porzą-

dek zaprowadzić w domu, opatrzyć drzwi, okna, piece, ściany, i uczynić go jako tako znośnym i mieszkalnym. Wprost nie napędzała, nie namawiała do pracy swoje panny bratowe: ale czyliż mogły widząc ją krzątającą się od rana do nocy, nie przyjść jéj w pomoc, nie naśladować, ale siedzieć z założonemi rękoma? Tak więc mimo wiedzy wprawiały się do pracy. Marcin także nie próżnował, a gdy co chwila Józefa upatrzyła w domu coś takiego, coby potrzebowało naprawy, to i on zwrócił uwagę na zabudowania gospodarskie. Zaczął od tego, że z desek, które od niepamiętnych czasów leżały w stodole, ułożył kładkę, po której suchą nogą przejść można było z domu do szopy i stajni. Za tę troskliwość, żona serdecznie mu podziękowała. Rozpatrzywszy się w zabudowaniach, zadziwił się, jakim cudem, albo raczéj łaską Opatrzności, stały dotąd i nie przygniotły ludzi i inwentarza. Ignacy starszy parobek, znał się na ciesiołce; z nim więc razem poczynił konieczne naprawy, tak iż do następnéj wiosny mógł być spokojny. Do téj pracy głównie skłoniła go ta myśl, że jego żona kilka razy na dzień zagląda do inwentarza, mogłaby więc podpaść okropnemu nieszczęściu. Na jarmarku, który na Ś. Marcin przypadł, pani Józefa sprzedała dwie krowy zajałowione, a kupiła cztery bardzo mleczne, i na ten wydatek wyłożyła czterysta zł. własnych pieniędzy.

— Musimy lepiéj karmić nasze krówki, rzekła do męża, dawać im sieczkę oblewaną gotowanemi kartoflami, i nie żałować garści siana.

Od najdawniéjszych czasów, krowy i jałowizna żyły u Niedbalskich owsianką, jęczmianką i rżanką, nigdy nie dawano im siana, cóż dopiero sieczki oblewanéj rozgotowanemi kartoflami.

— Ależ to będzie ogromnie kosztować! rzekł, wszystkie kartofle spasiemy bydłem, a potem cóż sami jeść będziemy?

— Zróbmy próbę przez jeden tydzień, a przekonamy się, czy ten wydatek nie przyniesie nam korzyści. Wszakże możemy przestać każdego czasu, odpowiedziała żona.

Cztery krowy dobrze pasione i dobréj rasy, dały obficie mleka. Niezmiernie przeto zadziwił się Marcin, gdy trzeciego dnia potem, pokazała mu żona ośm garncowych donic, napełnionych mlekiém, z jednego dnia uzbieranem.

— A co my z tém mlekiem będziemy robić? zawołał, a toć go nie zjemy i nie wyczęstujemy?

— Sprzedamy je i dobrze, odpowiedziała żona.

— Czy tu w miasteczku? Wszakże każdy mieszkaniec ma własną krowę, jedną lub dwie, i nie potrzebuje kupować?

— Bądź cierpliwy; zobaczymy jak to będzie; tymczasem przerobimy mleko na masło i ser, w niedzielę poślemy je na targ do Gombina albo do Sanik. Wydaliśmy kilkaset złotych na kupno krów, toć musimy je odzyskać ze sprzedaży nabiału. Myślę, że za rok już mieć będziemy te pieniądze, a krowy zostaną w czystym zysku, nie licząc większéj ilości nawozu i zboża, które się na niém obrodzi.

Dobrze wyrachowala pani Józefa. Mogła dziennie przedać albo wyrobić sześć garncy mléka, na ser i masło, co uczyniło około piętnastu złotych co tydzień; serwatkę wypijały wieprzaki, które przy lepszem żywieniu i dozorze prędko rosły, tak, że za sześć sztuk sprzedanych, w pół roku potem, wzięła zł. 150. Dodawszy tę kwotę do pieniędzy zebranych za nabiał, miała złotych 550.

Marcin powodowany dawną gnuśnością, a bardziéj jeszcze zaufaniem, nie mieszał się

do rachunków żony. Pokazując mu te pieniądze, rzekła do niego:

— Teraz mężu, muszę ci zwrócić należność za kartofle spasione krowami. Brałam co dzień po garncy 10, uczyni to na miesiąc korcy 10, a na pół roku 60 korcy; po zł. 4 za korzec uczyni zł. 240; pozostałe 310 zł. są czystym zyskiem: a żem na kupno krów wydała zł. 400, więc mi tylko 90 zł. nie dostaje do zwrotu moich pieniędzy. Na letnie półrocze, spodziewam się, że jeszcze więcéj mieć będziemy przychodu z naszych krówek, bo mleko przedamy na garnce; jużem się o to umówiła. Weź-że te 240 zł. na potrzeby i wydatki gospodarskie.

— Trzymaj je u siebie, kochana żono, wszakże nie mamy osobnéj kassy.

III.

Musimy wspomnieć o jednéj rzeczy, która w tak cichém i na wszystko obojętném miasteczku, wielkie wzbudziła podziwienie. Na święty Marcin, zaraz w trzy tygodnie po weselu Niedbalskiego, był czas pogodny, suchy i mroźny. Na jarmark przyprowadzono mnóstwo bydła i koni; zjechało się kilkudziesięciu kupujących i przedawców, i pomieścić się nie mogli w stajni zajezdnéj. Nazajutrz po jarmarku, gdy miasto znów było puste jak dawniéj, sześcioro ludzi zgarniało przez cały dzień wszystek nawóz rozrzucony po całym rynku, i zmieszany z wilgotną ziemią. Zaszły potem dwie fury, jedna pana Marcina, druga najęta, i wszystko to wywiozły na ogród Niedbalskiego. Trzeciego dnia podobnież wyprzątniono stajnię zajezdną.

— Nie żartem bierze się do gospodarstwa nowa nasza sąsiadka, rzekł jeden z mieszczan do swojego kuma, i dalibóg że ma rozum. Trzydzieści lat mieszkam w Osmolinie, a taki koncept, ani mnie, ani też nikomu z nas nie przyszedł do głowy. Dobrze zaczyna, zobaczymy, co daléj będzie.

Gdy nadeszła pora zimowa, a nie można było pracować w polu i ogrodzie, pani Józefa wzięła się do igły. Za jéj przykładem poszły siostry jéj męża; pokazała im, jak można wyporządzić i oczyścić suknie, które już uważały za nieprzydatne. Umiała farbować płócienka i perkaliki, znała się na krawieczczyźnie, wkrótce też garderoba panien Niedbalskich odznaczyła się niewidzianém nigdy ochędóstwem i zręcznym kształtem. Ten i ów, jak je zobaczył wychodzące z kościoła, mówił: „Dalibóg, to są wcale przystojne dziewczyny, nigdy jeszcze tak dobrze nie wyglądały.

Długie wieczory Listopada, Grudnia, Stycznia i Lutego, trzeba było urozmaicić i uprzyjemnić.

Dotąd pan Marcin i jego siostry przespały albo przeleżały ten czas tak długi. Jeżeli kiedy niekiedy zajrzały do sąsiadów, to nie miały o czém gadać, bo nawet i o plotki miéjskie w Osmolinie jest trudno. Oskrobały kartofle, zdarły trochę pierzy, i najczęściéj przy téj robocie drzymały. Po wieczerzy, o siódméj godzinie szły spać, a ten błogi sen gnuśności i niedbalstwa, trwał do siódméj rano.

Pani Józefa nazwyczaiła się od dzieciństwa do innego trybu życia. W domu Skalskich, robótki ręczne i gospodarskie ciągnęły się do ósméj, potém następowała wieczerza, a po niéj przynajmniéj przez godzinę czytano jaką zajmującą książkę. Potém dopiéro odmówili głośno modlitwę, i szli na spoczynek.

Pani Józefa nie zaniechała tak pożytecznego zwyczaju. Trzymając się téj zasady, żeby zdań i postępowania swego nie narzu-

cać siostrom mężowskim, rzekła do nich po wieczerzy:

— Ja będę sobie czytać książkę, którą mi przed ślubem ojciec przywiózł z Warszawy, a wy moje siostry zapewne pójdziecie na spoczynek. Napracowaliśmy się wszyscy przez cały dzień, nad opatrywaniem ścian, żeby nam ciepléj było na zimę. Ale ja nie usnę, nie przeczytawszy przynajmniéj czterech kartek, a więc życzę wam dobréj nocy.

— A czy to co pięknego i ciekawego? zapytała się Teresa Niedbalska.

— Tak sądzę, odpowiedziała bratowa, jest to książka mająca tytuł: *Pogadanki Niedzielne*. Ojciec mój twierdzi, że tam są ciekawe i nauczające rzeczy.

— Proszę cię, Józiu, głośno przeczytaj nam: odezwał się Marcin: ja też posłucham a może przy twojem czytaniu nie zasnę; jak to bywało, gdy mnie bakałarz do książki zapędzał.

Józefa wzięła książkę i zaczęła czytać powieść p. t. Obrazek Bogarodzicy. Jest to opowiadanie proste, tkliwe, a przytém bardzo zajmujące. Biedna wdowa postradała jedynego syna, a po trzydziestu kilku latach poznała go, kiedy zostawszy panem, kupił tę majętność, gdzie ona niegdyś mieszkała. Obrazek Bogarodzicy osadzony niegdyś w wyciętą korę drzewa rosnącego przy jéj chacie stał się przyczyną tak szczęśliwego wypadku. Poczciwy i zacny syn poznał swoją biedną matkę, która odtąd przy nim resztę życia swego szczęśliwie przepędziła.

Ta powiastka z treści i wysłowienia stosowna dla młodocianego wieku, niezmiernie podobała się pannom Niedbalskiem, nawet i panu Marcinowi. Uczucie szlachetne, pobożne i poczciwe, trafiło do tych serc prostych i prawych. Od tego czasu, nie przestały nalegać na bratowę swoją, żeby im co przeczytała. W kościele siadały razem w ławce drugiéj z rzędu. Pani Niedbalska modliła się na książce pięknie oprawnéj, którą przed ślubem dostała w podarunku od ojca; siostry zaś jéj męża śpiewały godzinki z ludem, albo odmawiały pacierze, gdyż nie umiały czytać. Przykrą im była to sprzeczność, na którą ich sąsiadki zaczęły zwracać uwagę. Za powrotém z kościoła Joanna rzekła.

— Ach jak żałuję, że będąc małą dziewczynką, nie chciałam chodzić do szkółki miejskiéj i nie nienauczyłam się czytać i pisać! Teraz wstyd nam siedzieć przy pani siostrze, która modli się na książce.

I nam tak samo powtórzyła Teresa i Agnieszka.

— Nie ma w tém nic tak złego, odpowiedziała Józefa, jeżeli tylko zechcecie, to w dość prędkim czasie będziecie mogły nauczyć się czytać. Ja podejmuję się być waszą nauczycielką podczas długich wieczorów zimowych.

— A gdzież tam! odezwała się prawie jednozgodnie. Jużeśmy takie stare! już nam za późno! A przytém, coby powiedziano w miasteczku? Smieją się z nas, że nie umiemy czytać, a jeszcze bardziéj śmiać się będą, jeżeli zasiądziemy nad elementarzem jak małe dziewczyny.

— Człowiek uczy się rozumu aż do śmierci, moje kochane siostry, mówi przysłowie: Na rzecz pożyteczną i dobrą nigdy nie jest zapóźno, dopóki mamy zdrowe zmysły, chęć i zdolność. A zresztą, któż się dowié, co będziemy robiły wieczorem. Dziewczyna, służąca pójdzie spać: a my zabierzemy się do nauki. Sprobójcie, może wam się uda, nie zasadzę was do *ba be bi bo bu, ca ce ci co cu*, zaraz na początek przesylabizujecie, a potém przeczytacie krótką powiastkę, albo jakie ciekawe opisanie, a tak mieć będzie-

my razem naukę i rozrywkę.“ Ta nadzieja dodała im ochoty i poszły za radą bratowéj. Ponieważ umiały kilkanaście pieśni nabożnych, a nawet i ową dawną pieśń staroświecką „*Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły*“ lekcya więc zaczęła się od tego, że wiersze i strofy, które tkwiły w ich pamięci, musiały czytać na książce, najprzód cały wiersz, potém wyrazy i sylaby, a nakoniec pojedyncze litery. Tym sposobem prędko poznały początki czytania. A gdy wzięły się do jakiéj powiastki, to znalazłszy te same głoski i sylaby, jakie były w owych drukowanych piosenkach, łatwo ją wyczytały przy pomocy życzliwéj nauczycielki. Powszechnie mówią, że w dorosłym wieku trudno przychodzi początkowa nauka. Panny Niedbalskie są przykładem, że to mniemanie nie zawsze jest sprawiedliwe. Umysł rozwinięty z wiekiem, łatwo i prędko spamięta i pojmie litery, sylaby i składanie całych wyrazów, jeżeli tém się zajmie gorliwie i z dobrą wolą. Z wielką przeto radością, mogły na święta Wielkanocne, w kościele modlić się na książkach do nabożeństwa. Jednocześnie zaczęły się także uczyć pisać, a chociaż trudniéj im poszło jak z czytaniem, jednakże w rok już mogły stawiać litery i całe zdania, w prawdzie dość sporym i nie bardzo kształtnym, ale wyraźnym charakterem.

(Dokończenie nastąpi).

FAŁSZYWA PERŁA.

Przypowiastka.

Na tym wielkim, rojnym świecie
I brylantów dość znajdziecie,—
Lecz też pośród złotych śmieci,
Co fałszywych pereł świeci!!

* * *

Oto, pani Tomaszowa
Z minki, z cząt—ach! jagniątko;
A pod sercem djabła chowa
I obłudy zawiniątko.
W oczy taka dobra, tkliwa,
A za oczy maskę zrywa.

* * *

Ach, ta pani Tomaszowa
Jak czcić umie swoich gości!
Przy nich męża zjeść gotowa:
Tak go kocha— aż do mdłości!
Lecz, gdy goście przejdą próg,
Zaraz przypnie ostry róg!

* * *

Dobra pani Tomaszowa!
Tak dla wszystkich w świecie szczera:
Czy to ciotka, swat, bratowa,
Tak z nich wzorki skrzętnie zbiera,
Że je potem jak w wystawie
Rada głosi po Warszawie.

* * *

Więc fałszywa Tomaszowa?
Nie, broń Boże! to z szczerości;
Bo od czegóż pusta głowa
I języczek u jéjmości?
W oczy mówić: tak o! tak,
A za oczy skroić frak!

* * *

Więc tą panią Tomaszową
Jak niesłusznie gardzą w świecie!
Taką minkę barankową
Tylko ona ma— lub dziecię.
Kto ją bliżéj pozna, zgłębi,
To jéj szczerość — go aż ziębi.

* * *

Bo ta pani Tomaszowa
Z minki, z cząt ach! jagniątko,
A pod sercem djabła chowa
I obłudy zawiniątko.
W oczy taka szczera, tkliwa
Bo to perła— lecz fałszywa!

J. Gr.

WYJĄTKI

Z PODROŻY PO OBCYCH KRAJACH.

Mieszkańcy Ziemi Księżycowéj w południowéj Afryce.

Między mieszkańcami Ziemi Księżyca, pisze świeżo angielski podróżnik kapitan Burton, dwa pokolenia zasługują na baczniejszą uwagę: Nakimbowie i Uanyamuezi; ci ostatni dosłownie; mieszkańcy Ziemi Księżycowéj. Pierwsi, przybywszy tu z innych stron przed kilkudziesięciu laty, hodują bydło, zajmują się handlem, a niektórzy nawet podróżują do brzegów morza.

Uanyamuezi, właściciele ziemi, pracowici i przemyślni, mają przewagę nad swemi sąsiadami. Cera ich jest koloru ciemno-popielatego i włosy mają kręcące się i spadające w licznych lokach do koła głowy, brodę krótką i rzadką; większa część wyrywa sobie brwi. Ludzie ci są słusznego wzrostu, przytém kształtni i silni, żyją długo i są waleczni. Mężczyzni i kobiety rozciągając sobie mocno uszy, przywiązują do nich rozmaite ciężary. Bogaci chodzą w ubiorach z materyi, ubodzy okrywają się skórami. Kobiety zamożne noszą długie tuniki, najczęściéj przewiązane w pasie, uboższe chodzą w spódnicach ze skóry dochodzących do kolan; młode dziewczęta mają łono zawsze odkryte, dzieci są zupełnie nagie.

Uanyamuezi mają bardzo mało obrządków i formalności religijnych, oraz cywilnych. Gdy się urodzą bliźnięta, co na szczęście rzadko się zdarza, jedno zabijają. Gdy żona umiera bez potomstwa, teść zwraca wdowcowi summę, którą był przy wydaniu swéj córki otrzymał za nią; jeżeli pozostaje dziecię, kwota posagowa staje się jego własnością.

Urodziny obchodzą się wielką ucztą, jeżeli tylko rodzice mają środki potemu Dzieci należą do ojca, mającego nad niemi nieograniczoną władzę i może on je zabić lub zaprzedać w niewolę, według swego upodobania. Spadek po ojcu otrzymują dzieci z nieprawego łoża, z wyłączeniem prawych, które, według panującego tam przekonania mniéj potrzebują spadku, mając rodzinę. Jak tylko chłopiec może chodzić, wysyłają go paść bydło; w czwartym roku dają mu łuk i strzałę i uczą jak się z niémi obchodzić; w dziewiątem roku chłopak uważa się za dorosłego (gdyż w gorących krajach prędzéj dojrzewają); więc uprawia sobie tytoń, na cząstce pola marzy o budowaniu domu, którego stanie się właścicielem. W całém pokoleniu nie ma ani jednego malca w tym wieku, któryby nie opatrywał swych potrzeb własnemi siłami. Stanowisko dziewcząt jest równie godne uwagi: te, jak tylko wyjdą z dziecinnego wieku, zaraz opuszczają dom rodzinny i połączywszy się z rówiennicami, budują sobie osobny szałas, żyjąc wolno.

Każdy młodzieniec żeni się, jak tylko ma za co kupić żonę, kosztującą od jednej do dziesięciu krów, i sprzedać zaś ją może tylko w razie, gdy tego wymagają własne interesa. Po ucztach weselnych mąż zamieszkuje razem z żoną, dopóki mu się spodoba, wielożeństwo jest tu rozpowszechnione pomiędzy wszystkiemi, których stać na ten zbytek. Łatwo zrozumieć, że przy takich warunkach obyczaje i związki rodzinne są bardzo rozwolnione; przywiązanie małżonków jest żadne; nieraz mąż powraca z wyprawy wojennej do domu z materjami, których ani jednej szmaty nie da własnéj żonie; żona też nawzajem, choćby najbogatsza z domu swego, pozwala mężowi umierać z głodu. W domowem gospodarstwie mąż dogląda trzody i drobiu,

żona pracuje w polu i ogrodzie, lecz każde w téj pracy myśli tylko o sobie.

Mąż i żona mają odzielne swe domy. Mężczyzni w swoich przepędzają nieraz całe dnie, nawet zaraz po ożenieniu się, grając, pijąc, paląc tytoń, rozmawiając lub śpiąc pokotem jak ogary w psiarni.

RADY GOSPODARSKIE.

Roboty około roli w zimie. Dla niejednego rolnika zazwyczaj zaraz z planu przypada dużo robót takich, których w lecie nie mógł przedsiewziąść, gdyż brakło czasu, a potem i w zimie ich nie dokonał, gdy mróz zbyt głęboko przeniknął rolę. W ten sposób idzie przewłoka podobnych robót z dnia na dzień, z roku na rok, i sprowadza w gospodarstwie straty. Niejednemu z rolników na małych gospodarstwach może nie jest wiadomo: że cienka warstwa rozrzuconych liści lub nawozu ze słomy wystarcza, aby ziemię od mrozu ochronić, i przezto następnie pracę około roli w porze zimowéj przy sprzyjającéj pogodzie odbywać.

Jak puch odświeżyć w pościeli,—czyli, jak przywrócić mu należytą sprężystość, gdy się z czasem ugniecie i pozwija prawie w kłęby? Chcąc go na nowo uczynić pulchném, trzeba go najprzód wymyć, nie wysypując z poduszek, pierzyn, lub piernatów, w każdéj wodzie, wycisnąć jak najlepiéj, a nareszcie polać ukropem. Potém wyżąć, wysuszyć, wytrzepać, a będzie tak pulchny jak nowy.

RÓŻNE-RÓŻNOŚCI.

Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści. Wiejski krawiec starozakonny przechodził razu jednego z robotą przez las i o zmierzchu ujrzał z wielkim strachem wilka nade drogą, jak wytrzeszczył na niego świecące oczy, i ani się z miejsca ruszył. Krawiec, myśląc, że odstraszy wilka, zaczął mierzyć do niego swym łokciem udając niby strzelbę. Mierzy tak i straszy wilka dość długą chwilę, gdy w tém huk z rzeczywistéj strzelby rozlega się, a wilk ugodzony śmiertelnie pada nieżywy; gdyż zdarzyło się, że w tym samym czasie z drugiéj strony przechodzący strzelec wystrzelił do wilka.

Ale krawiec zachwycony swoim łokciem, z wesołością rzucił go o ziemię i rzekł do niego:— No, tyle lat cię już z sobą noszę, i nie wiedziałem dotąd, że tyś taki mądry! Ha! widać, dodał: *Jak Pan Bóg dopuści to i z kija wypuści*.... Ale coby się to stało ze mną, gdybym był łokieć z drugiéj strony do siebie obrócił? Pewnikiem, na miejscu mnie by zastrzelił!

Zuchwała mucha. Że też to od kilku lat powtarza się jedna i ta sama bezczelność! Oto, jak wiadomo, dopiero przed kilku dniami zginęły na dobre muchy; jedna z ostatnich opuszczając nasze strony, znowu w tym roku porwała z piekarni dwugroszową bułeczkę okrągłą i odleciała z nią daleko, może na wystawę paryzką, żeby tam pokazać, co to za sztukmistrze ci warszawscy piekarze!

Zagadka.

Co to jest?

Na Podlasiu, moje miano
Niewielkiemu miastu dano;
A gdy chcecie
Wodnym ptakiem mnie nazwiecie.

Redaktor i Wydawca **Józef Grajnert.**—w drukarni I. Krokoszyńskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.